

Kłopotliwa niepodległość

Andrzej Nowak

Rzeczpospolita – 8-9 listopada 2008 nr 262 (8163)



„Kiedy prawdziwie Polacy powstaną, / To składek zbierać nie będą narody, / Lecz ogłupieją... [...] // Nie pojmie Francuz... co to w świecie znaczy, / Że jakiś naród... wstał w ciemności dymie [...]”. Tak opisał przyszłość wieszcz (ten, którego wielbił ponad wszystkich Piłsudski). Kiedy Polska już powstała naprawdę - w 1918 roku, i kiedy w następnych dwóch latach broniła swej niepodległości, wytyczała jej granice na wschodzie i zabiegała o ich uznanie na zachodzie - okazało się, że jednak Francuz nie pojął. Ani Anglik, ani Amerykanin. Czego nie pojęli? Polskiego mesjanizmu? Romantycznej poezji, która zaczerpnęła polskie wyobrażenia polityczne? A może polskiej niepodległości po prostu?

Warto się nad tymi pytaniami zastanowić, bowiem bez odpowiedzi na nie trudno zrozumieć całą - także późniejszą - historię naszych nadziei i frustracji związanych ze stosunkiem Zachodu wobec Polski.

Zapytajmy najpierw o to, jak wyglądał stan owych nadziei i frustracji na progu roku 1918. Mesjanizm nie był już wtedy na pewno dominującą nutą w polskiej myśli politycznej; Marzenia o odbudowaniu polskiej państwowości przybierały kształt bardziej realistyczny. Wyrazem owego realizmu było przekonanie, że bez akceptacji zwycięskich w wojnie światowej mocarstw Zachodu trudno będzie utrzymać uzyskaną w owej wojnie niepodległość. Przekonanie to opierało się na prostej kalkulacji geopolitycznej: skoro Polska powstaje z klęski Niemiec i Rosji, to musi szukać asekuracji przeciw potencjalnemu rewanżyzmowi ze strony tych potęg (przeegranych, ale nie zniszczonych w I wojnie), a może ją znaleźć tylko w mocarstwach zwycięskiej ententy: na Zachodzie.

Wilson nam obiecał

Wybór Zachodu zakorzeniony był jednak w polskiej myśli politycznej głębiej, nie tylko w takiej kalkulacji. Od czasów oświecenia myśl tę inspirowała wszak wizja modernizacji odwołującej się do wzorów uformowanych we Francji lub Anglii: na Zachodzie. Dążenie do akceptacji z tej strony miało wymiar nie tylko geopolityczny, ale i cywilizacyjny.

Na czym nadzieje na tę akceptację mogły się w 1918 roku opierać? W największym skrócie można je chyba przedstawić tak. Głównym wrogiem mocarstw zachodnich w wielkiej wojnie były Niemcy - i Niemcy tę wojnę przegrały. Rosja - pierwotnie sojusznik tych mocarstw padła łupem niebezpiecznej, jawnie głoszącej swoją wywrotową ideologię sekty bolszewików. W tej sytuacji wybór geopolityczny Zachodu musi paść na odbudowaną, silną Polskę jako asekurację także dla niego (dla Francji przede wszystkim) przed niemieckim rewanżyzmem, ale także jako ścianę zasłaniającą Europę (znowu!) przed antycywilizacyjną zarazą ze Wschodu.

Zachód musi postawić na Polskę. Także dlatego, że reprezentuje w swej aktualnej - triumfującej w I wojnie formie ideowej - doktrynę liberalizmu. Nie tylko jako prawa jednostki, ale również - w wymiarze międzypaństwowym - jako prawa narodów do samostanowienia. Tę doktrynę wprowadza przecież na sztandary ententy przywódca mocarstwa z nią stowarzyszonego, nowej, głównej siły Zachodu - prezydent USA Woodrow Wilson. Wolne narody zamiast starych, opresywnych imperiów. Czy nie tak odczytywali nowy porządek europejski, jaki zapowiadał amerykański prezydent, najważniejsi politycy i komentatorzy roku 1918? Skoro tak, to przecież – wydawało się to oczywiste, przynajmniej nad Wisłą - nikt lepiej od Polski nie wyraża tego nowego porządku, nic bardziej, niż odbudowanie Polski, nie symbolizuje sprawiedliwości zasady samostanowienia narodów. Tę zasadę głosili polscy powstańcy -od czasów Kościuszki, poprzez hasło „za naszą i waszą”, podniesione w 1831 roku, dyplomację emigracyjną księcia Adama Jerzego Czartoryskiego, aż po antyimperialny program i działalność PPS. Zachód nareszcie piękno moralne i racje polityczne tej postawy zrozumiał. Od 1815 roku, od kongresu wiedeńskiego, sprawa polska była najbardziej widocznym znakiem niezałatwionej w porządku europejskim sprawy wolności narodów. Teraz w wojnie światowej tamten porządek runął. Tworzył się nowy – i odbudowanie Polski jest jednym z jego głównych punktów.

O tym, że tak ma być, zdawał się świadczyć słynny punkt 13. orędzia prezydenta Wilsona do Kongresu Stanów Zjednoczonych z 8 stycznia 1918 roku. Punkt stwierdzający powinność (should) odbudowania państwa polskiego został ogłoszony w orędziu, które uznano szybko za wielką kartę nowego ładu międzynarodowego. Polacy tak to zapamiętali: Ignacy Paderewski przekonuje amerykańskiego prezydenta do decydującego wsparcia sprawy polskiej. Dźwięki „Etiudy rewolucyjnej” (a może Poloneza A-dur) Chopina wtórują triumfalnemu powrotowi niepodległej Rzeczypospolitej na mapę.

Troska o granice Rosji

Ale w jakich granicach ten powrót ma się dokonać? Dla Polaków naturalny układ

odniesienia dla myśli o nowych granicach tworzył kształt Rzeczypospolitej sprzed rozbiorów. To państwo w granicach z 1772 roku traktowane było przez cały niemal okres walki o niepodległość - do 1863 roku przynajmniej - jako historyczna spuścizna, której rozerwanie było międzynarodową zbrodnią, a dążenie do jej odrodzenia - polskim obowiązkiem. Oczywiście tworzenie się nowoczesnych narodów, zmiany demograficzne powodowały, że na progu XX wieku mało kto z Polaków uznawał restytucję Rzeczypospolitej in integrum za realną. Szukano swoistego kompromisu między zasadą ściśle etnograficzną a żywą w kolejnych pokoleniach Polaków historyczną pamięcią o Rzeczypospolitej. Myślano także o formule, która zabezpieczyłaby egzystencję odbudowanej Polski - dużego państwa narodowego (po granice drugiego rozbioru na Wschodzie), jak chciał Dmowski, albo federacji ze wschodnimi sąsiadami (Litwą – z Białorusią, a także Ukrainą), jak wyobrażano to sobie w kręgu Piłsudskiego. Obie te formuły były nie do przyjęcia dla zachodnich mocarstw. Dmowski przekonał się o tym już w rozmowie z prezydentem Wilsonem we wrześniu 1918 roku, Piłsudski - w roku 1920.

Niestety, nie doczytaliśmy dobrze punktu 13., nie przestudiowaliśmy także dokładnie jego kontekstu w orędziu. Amerykański prezydent wyraźnie zaznaczył, że w skład państwa polskiego miały wejść „terytoria zamieszkałe przez bezdyskusyjnie polską ludność”. O ile w stosunku do granic zachodnich otwierało to przed Polską możliwość rewindykacji terenów sięgających granic przedrozbiorowych, o tyle na Wschodzie oznaczać mogło granice, które kadłubowemu Królestwu Polskiemu wyznaczył w 1815 roku kongres wiedeński - gdzieś do Bugu, nie dalej. Zwłaszcza że w punkcie szóstym swego orędzia prezydent Wilson domagał się jednoznacznie ewakuacji wojsk okupacyjnych z „całego terytorium rosyjskiego”. Prezydent podkreślał konieczność zachowania integralności terytorialnej Rosji w jej granicach państwowych z 1917 roku (bez małej, „etnograficznej” Polski oraz ewentualnie bez Finlandii).

Opiekunowie ładu światowego

Zasadnicza linia dyplomacji amerykańskiej w kolejnych latach potwierdziła tę interpretację. Najmocniej w nocy sekretarza stanu z 10 sierpnia 1920 roku, kiedy Armia Czerwona podchodziła pod Warszawę - wówczas rząd amerykański domagał się uroczyście raz jeszcze, by zachować całość terytorium Rosji przed zakusami jej zewnętrznych wrogów (czytaj m.in.: Polski, która naruszyła ową całość, próbując postawić w kwietniu 1920 roku niezależną od Moskwy Ukrainę)...

Wielka, demokratyczna Rosja, o jakiej marzył prezydent Wilson, miała zarezerwowane miejsce w jego wizji nowego porządku światowego, który wcielać miała

Liga Narodów. Do sprawnego funkcjonowania Ligi konieczna była zgodna współpraca wielkich mocarstw. Odnowiona Rosja miała być, obok mocarstw anglosaskich i (traktowanej przez Wilsona z większą podejrzliwością) Francji, filarem globalnego porządku. Polska nie miała w nim do odegrania żadnej pozytywnej roli. Powinna tylko cieszyć się jego błogosławionymi owocami, oddając swój los całkowicie w ręce Ligi. W istocie rzeczy wielki projekt Wilsona zakładał przekreślenie polityki poszczególnych państw. Pierwsze miały z niej zrezygnować państwa mniejsze. Główne mocarstwa, spełniające nadzieje amerykańskiego prezydenta na przyjęcie liberalnego modelu politycznego, miały pozostać na straży nowego porządku. Naturalnym dopełnieniem wizji Wilsona była sformułowana dopiero podczas następnej wojny przez F. D. Roosevelta koncepcja czterech policjantów (USA, Wielka Brytania, ZSRR, Chiny) - wielkich mocarstw, jedynie uprawnionych do posiadania armii i polityki zagranicznej, kontrolerów międzynarodowego ładu. Faktycznie owo dopełnienie było już wpisane w program samego Wilsona.

W owym połączeniu liberalnego idealizmu z geopolitycznym „realizmem” było miejsce tylko dla Polski małej, zorganizowanej w taki sposób, by harmonizowała z projektem odrodzonej, federalnej Rosji. W tej części świata bowiem to Rosja była naturalnie predestynowana do roli opiekuna. Naturalność, z jaką polityka Wilsonowska przyjmowała taką właśnie ocenę Rosji, wiązała się z jednej strony ze swego rodzaju przyzwyczajeniem większości (także amerykańskich) kręgów dyplomatycznych do dominującej roli rosyjskiego imperium w Europie Wschodniej. Z drugiej - ze specyficzną wiarą prezydenta (podzielaną przez wielu jego współpracowników i następców z Partii Demokratycznej), że Rosja jest najlepszym partnerem dla Stanów Zjednoczonych: zmuszona znosić w swej historii ucisk tyranów, pozostaje zawsze „demokratyczna w głębi serca”.

To nastawienie pozostanie ważne na przyszłość. Bezpośrednio po 1919 roku Ameryka wypadła z gry o Europę: nie ratyfikowała traktatu wersalskiego i cofnęła się na pozycję izolacjonizmu. Wizję nowego ładu miały dźwignąć na kontynencie dwa zwycięskie mocarstwa: Wielka Brytania i Pranej a. Dla tej ostatniej odbudowana Polska miała wartość tymczasową: dopóki nie odrodzi się niebolszewicka Rosja jako strategiczny sojusznik przeciw Niemcom.

Polska to, jak to nazwie potem precyzyjnie ambasador Jules Laroche, une alliée de remplacement - sojusznik zastępczy. Dobry tak długo tylko, jak długo pozostaje wygodnym narzędziem strategii francuskiej. Kiedy będzie się wydawało - po układach locarneńskich w 1925 roku że niemiecki rewanżyzm udało się zwrócić wyłącznie na Wschód, Francja Polską już nie będzie specjalnie zainteresowana. Oburzona zaś będzie do żywego, kiedy Piłsudski spróbuje choć tymczasowo odwrócić widmo niemieckiej agresji od Polski,

zawierając w 1934 roku pakt o niestosowaniu przemocy z Berlinem. Narzędzia tak nie robią!

Tu nie było miejsca na ideologię, liczyła się tylko kalkulacja strategiczna, w której Polska traktowana była (że znów użyjemy słów ambasadora Laroche'a) 'jako „państwo amorficzne i w pewnym stopniu niedorozwinięte". W 1920 roku Francja wsparła to państwo, w latach 30. - już nie.

Niewygodny bufor

Kiedy Polska pojawiała się znowu na mapie, rząd walijskiego liberała Davida Lloyd George'a miał znacznie więcej możliwości, ideologicznej motywacji i praktycznej ambicji od kolejnych rządów francuskich. W żadnym rządzie zachodnim tego okresu nie znajdziemy jednak większej niechęci do odrodzonej Polski niż w rządzie angielskim. Zjawisko to było tak uderzające współczesnych, że niektórzy byli gotowi dopatrywać się w nim elementów ukrytego spisku. Może to żydowska kochanka Lloyd George'a? - zastanawiał się Dmowski. Niestety, powody owej niechęci były bardziej zróżnicowane i mniej ulotne.

Pierwszy z nich ujawnił się z całą siłą już w memorandum I Lorda Admiralicji (a wkrótce sekretarza Foreign Office) Arthura Balfoura z października 1916 roku. Kiedy tylko zaczęto rozważać samą możliwość odbudowania państwa polskiego w toczącej się wielkiej wojnie, brytyjski polityk ostrzegł, iż miałyby to fatalne skutki dla europejskiego ładu. Polskie państwo może mieć wyłącznie charakter buforowy, jednak samo już odseparowanie przezeń Rosji od Niemiec będzie nieuchronnie prowadziło do tego, iż będą one mogły rozwinąć swoją ekspansję w kierunkach niebezpiecznych dla interesów brytyjskich: Rosja na wschód - w Azji, zaś Niemcy na zachód. Zarazem w przypadku uderzenia Niemiec na Francję, Rosja nie będzie mogła przyjść tej ostatniej bezpośrednio z pomocą. Polska zawsze będzie za słaba, by grać rolę Rosji w utrzymywaniu strategicznej równowagi na kontynencie - stwierdzał Balfour. I doradzał najwyżej zabezpieczenie Polakom pewnej autonomii wewnątrz imperium rosyjskiego.

Ten sam polityk zasłynął rok później deklaracją wsparcia brytyjskiego dla budowy „narodowego domu" dla Żydów w Palestynie. Czyżby znowu żydowska kochanka? Nie, choć rzeczywiście lobby syjonistyczne działało w Londynie i Paryżu lat 1917 - 1918 na pewno skuteczniej od Romana Dmowskiego.

Powód zasadniczy był inny: przyszłe państwo żydowskie miało powstawać na terenie zgniłego już i rozpadającego się bezpowrotnie imperium osmańskiego. Polska natomiast leżała na obszarze, na którym stykały się żywotne interesy dwóch mocarstw, które choćby nawet były pokonane w wojnie, miały pozostać na mapie (także mentalnej mapie dyplomatów

mocarstw zwycięskich) jako pierwszoplanowi gracze na wielkiej, europejskiej szachownicy. Żaden brytyjski polityk nie chciał ich na trwale antagonizować.

Małe narody utrudniają handel

O ile w ujęciu brytyjskiej wizji powojennego porządku w Europie Wschodniej przez Balfoura szczególnie ważny był kontekst geopolityki, o tyle dla samego premiera Loyda George'a nie mniej ważne wydawały się hasła głoszonej przez niego liberalnej ideologii. Cywilizująca i pacyfikująca funkcja wolnego handlu miała być w jego ujęciu czynnikiem, który miał (częściowo przynajmniej) zastąpić hołubione przez polityków kontynentalnych koncepcje zbrojnej równowagi czy sojuszy.

Nadanie problemom ekonomicznym znaczenia podstawowego nie pozostawiało bez konsekwencji dla rozwiązań czysto politycznych. Dla walijskiego liberała liczyły się te kraje, które uznawał za istotne dla utrzymania ufundowanej na handlu potęgi brytyjskiego imperium. W Europie Środkowej były to tylko Niemcy, których gospodarcze ożywienie po wojnie było niezbędne dla odbudowy całej gospodarki europejskiej. W Europie Wschodniej - tylko Rosja: wielki rynek zbytu i zarazem, jak (błędnie) wierzył Lloyd George, eksporter żywności, zboża do zachodnich krajów kontynentu. W jego wizji odnowionej Europy konieczne były zarówno silne Niemcy, jak i silna Rosja, zorientowane nie na polityczny czy militarny rewanz, ale na rozwój ekonomiczny i szeroką wymianę handlową ze światem.

Nowo powstające w Europie Środkowo-Wschodniej kraje, takie jak Polska, nie miały i w tej perspektywie żadnej roli do odegrania. Dla brytyjskich interesów ekonomicznych były bez znaczenia. Skoro już powstały, wyraziły wolę niepodległego istnienia, rozbijając większe (a więc korzystniejsze z punktu widzenia swobody handlu i rozwoju gospodarczego) całości terytorialno-państwowe, ważne było przede wszystkim, by nie przeszkadzały swoim wielkim sąsiadom w pokojowej ewolucji w stronę liberalnego ideału, by nie prowokowały ich swoim postępowaniem, czy samymi swoimi „nazbyt rozbuchanymi” granicami, do powrotu na drogę militarizmu i politycznej konfrontacji.

W szczególności dotyczyło to położonej między Niemcami a Rosją Polski, w o wiele mniejszym stopniu państw zbudowanych na gruzach Austro-Węgier (stąd tak radykalnie różne traktowanie np. aspiracji terytorialnych Czechosłowacji, której całkowicie wbrew zasadom etnograficznym mocarstwa ententy przyznały obszary Rusi Zakarpackiej czy zamieszkałą przez większość węgierską część Słowacji). Ideałem byłaby w tej perspektywie Polska w granicach Królestwa Kongresowego z 1815 roku, poszerzona tylko o Galicję Zachodnią. Do takiego ideału zmierzała konsekwentnie dyplomacja Lloyd George'a w latach 1918 -1920. Każda próba wyjścia poza te granice - tak w kierunku zachodnim, kosztem Niemiec, jak i wschodnim -

przyjmowana była przez brytyjskiego premiera z najwyższą irytacją: jako przejaw szczególnie niebezpiecznego, polskiego imperializmu.

Do imperializmu prawo mają tylko imperia: brytyjskie, francuskie czy rosyjskie - to ostatnie nawet w nowej, sowieckiej formie. Imperiów nie obowiązują kryteria etnograficzne, małe narody - owszem, zwłaszcza jeśli stają na drodze imperiów. Z tego nastawienia Lloyd George'a wyrosła tzw. linia Curzona, nakreślona w istocie przez sekretarza premiera, Philipa Kerra w lipcu 1920 roku jako propozycja dla bolszewików nacierających na Warszawę, by się na owej linii zatrzymali. Na szczęście dla Polski Lenin tej propozycji nowego rozbioru Rzeczypospolitej nie przyjął: chciał więcej - przejść przez cały polski korytarz do czerwonego Berlina. I został, wbrew przekonaniu Lloyd George'a, zatrzymany przez polskie wojsko.

Sympatia dla silniejszych

Polska przetrwała rok 1920, utrwaliła swój byt państwowy w kształcie wykraczającym daleko poza wyobrażenia porządku, jaki planowały wprowadzić mocarstwa zachodnie. Jej granice wschodnie zostały uznane przez mocarstwa ententy ostatecznie w 1923 roku. Jednak Polska nadal nie pasowała, nadal przeszkadzała w stabilizacji owego porządku. Ostatecznym jego kryterium był sukces. Polska nie mogła z sukcesem zastąpić Rosji - nawet wtedy, gdy na miejscu Rosji pojawił się Sowiecki, można się było przyzwyczaić. Nie tylko dlatego, że był tam, gdzie zawsze było imperium. Także dlatego, że był ośrodkiem ideowego fermentu, centrum nowej wiary, która nie małej części liberalnego establishmentu w zachodnich mocarstwach zaimponowała.

Polska traktowana była z perspektywy tego ostatniego jako jeden z powołanych do życia z jego łaski wyzwolenców, obok Czechosłowacji, Rumunii, Jugosławii, krajów bałtyckich. Ci stawali się coraz bardziej rozczarowujący - za mało wdzięczności i posłuszeństwa, za dużo niezrozumiałych dla zachodnich strażników porządku, sprzecznych między sobą interesów, wewnętrznych swarów, do których nie chciały dać się wciągnąć stare mocarstwa. Nowe kraje mogły zasłużyć na pochwałę, co najwyżej wiernym naśladownictwem wzorów zaczerpniętych w Paryżu czy Londynie (z wyjątkiem wzorów imperialnych, naturalnie). Ale czy naśladowców, nawet najlepszych, można podziwiać? Można się nimi fascynować?

Liberalno-demokratyczny ład przeżywał po wielkiej woj -nie czas zwątpienia w swoje ideały. Krytycznie obserwowano ich korozję w niektórych krajach Europy Środkowo-Wschodniej, ale jednocześnie podziwiano radykalne zaprzeczenie owych ideałów w Rosji. Jeśli tradycyjny, wiktoriański liberalizm miał być siłą postępu, to w latach 30. przestano go postrzegać w ten sposób. W cieniu wielkiego kryzysu toczącego gospodarkę kapitalistyczną po 1929 roku

postęp zdawał się wcielać w stalinowski plan pięcioletni imponujące efekty wprowadzanej przez komunistyczne państwo industrializacji, w religię nowego człowieka i maszyny.

Ci sami liberałowie, którzy potępiali naruszenia zasad demokracji i wolności obywatelskich w Polsce czy Rumunii, byli gotowi sławić totalitarne metody Stalina - bo one miały nieść ze sobą wielką, nową ideę oraz imponującą skuteczność ekonomiczną. Postęp ma swoje ofiary, owszem, stwierdzano - ale jest tego wart. Kto się temu przeciwstawia, ten grzeszy przeciw postępowi, grzeszy przeciw ludzkości - jak to ujmą posłowie Labour Party w 1920 roku organizujący masowe protesty przeciw wysyłaniu najmniejszej choćby pomocy dla Polski walczącej z bolszewikami. To był liberalizm sympatii dla silniejszych batalionów: silniejszych fizycznie i śmielszych ideologicznie.

Polska jako oprawca

Przecież jednak trwał także liberalizm sympatii dla słabszych batalionów, współczucia dla biednych, dla uciśnionych. Można go było znakomicie pogodzić z tym poprzednim, faworyzującym ideologię komunizmu - boć przecież miała ona zapewnić głos i napęlić brzuch najbiedniejszym, najbardziej skrzywdzonym... Ale mógł także ów liberalizm dostrzec ofiary gdzie indziej.- ofiary w uciśnionych mniejszościach, narodach.

Polski po 1918 roku już do tej grupy nie zaliczano. Przeciw- współcześnie w Niemczech obrazki Stasiuka: Polski prowincjonalnej, zapitej, brudnej, wschodniej. Tak działa orientalizm. Jedna z postaci liberalizmu. Jest w nim miejsce tylko dla Polski-beznadziejnej ofiary.

Takie miejsce pomógł „nowym” krajom w Europie Środkowej i Wschodniej odnaleźć liberalizm porządku: ustalanego przez wielkich, uprawnionych do wypowiedzania się w imieniu słabszych, gorzej rozwiniętych -porządku z Monachium, potem z Jałty.

II Rzeczpospolita nie była mocarstwem ani - wbrew utrwalonym mitom - nie aspirowała do roli imperium. Była jednak w swej polityce, zwłaszcza pod rządami Piłsudskiego, podporządkowana dążeniu do podważenia zasady uległości i bierności wobec wielkich mocarstw. Była widowym znakiem niezgody na to, że mniejsze („nowe”) państwa mogą być tylko pionkami w grze prowadzonej przez większych, uznanych w tradycyjnym koncercie mocarstw graczy. Burzyła porządek I zapłaciła za to.

Ale czy coś za tę straszną cenę zyskała? No cóż. Wyobraźmy sobie na koniec, że polskie elity akceptują w 1918 roku to miejsce, jakie dla ich kraju przewidzieli architekci powojennego ładu: mały kraik nad Wisłą, najwyżej 200 tysięcy kilometrów kwadratowych, o jedną trzecią mniej ludności, bez Lwowa, Grodna i Wilna, także bez Katowic. Małe jest piękne? Może nie doszłoby wtedy do nowej, wielkiej wojny.

Może, choć historia nie jest nauką eksperymentalną, która pozwoliłaby sprawdzić takie założenie.

Ale może jednak, gdyby mimo wszystko sowiecki eksperyment nie rozwinął się dalej pokojowo, a Niemcy nie pogodziły się na zawsze z przegraną w I wojnie, to powstała po nowej wojnie kolejna Polska nie uzyskalaby w 1945 roku takich rekompensat na Zachodzie za terytoria tak „nieposłuszenie” wywalczone na Wschodzie w latach 1919-1921?! byłaby nadal małym kraikiem nad Wisłą (bez Gdańska, naturalnie)? Nie wiem, za dużo tu niewiadomych. Jest może tylko pole do rozważań nad tym, czy w polityce międzynarodowej warto zawsze być posłusznym. I komu

Andrzej Nowak

Autor jest profesorem Uniwersytetu Jagiellońskiego i redaktorem naczelnym czasopisma „Arcana”.